

Pismo.

LIPIEC 2019

OPOWIADANIE

Nigdy więcej Capri! | 6
TOVE JANSSON

Stara wiosna | 94
PAWEŁ SOŁTYS

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w lipcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 96
GRZEGORZ ŁAPANOWSKI

POEZJA

Zippo | 17
MARCIN SENDECKI

Bezpieczeństwo w. | 45
MILA BULSKA

Dlaczego poezja jest ci niezbędna do życia | 87
TOMASZ DĄBROWSKI

OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Nowy Meksyk** | 4
KAROL GRYGORUK

FOTOREPORTAŻ **Ten obcy** | 32
ANAÏS LÓPEZ

KOMIKS **While I'm still here** | 64
MATEUSZ WIŚNIEWSKI / LESZEK KASSIJAN-WICHEREK

ZARTY RYSUNKOWE **Sztuczne fiołki**

OKŁADKA **Oparcie**
TOMASZ MAJEWSKI

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Przez**
MARCIN WICHA

PORTRET

10 | **Jacinda Ardern: Kieruję się intuicją**
TOBY MANHIRE o progresywnej premierce Nowej Zelandii, która musi zjednoczyć kraj

REPORTAŻ

18 | **Cudów brak**
MICHAŁ SZCZĘCH wraca do Kolska i słucha komentarzy po tekście o księdzu pedofilu

24 | **Rozbieracze**
BEATA SZADY o interesie rozbiórkowym, który zmienia oblicze warmińskiej ziemi

Z PISMEM U...

38 | **Colina Thubrona**
ADAM ROBIŃSKI pyta pisarza, dlaczego w gangu podróżników byłby tym rozsądnym

ESEJ ŚWIAT

46 | **Europa, Europa, Europa**
MONIKA PRONCZUK wyjaśnia, jak skazujemy migrantów na przemoc w Libii

52 | **Wypełniając pustkę**
ANDRZEJ MUSZYŃSKI opowiada, dlaczego Niemcy odnaleźli swój *Lebensraum* w Namibii

56 | **Światło polarne**
BARRY LOPEZ szuka początków Układu Słonecznego tam, gdzie jego kres

ESEJ IDEE

72 | **Niewygodne cudze buty**
KAROLINA WIGURA stworzyła poradnik: jak być empatycznym?

78 | **Szeptana historia Polski**
KACPER POBŁOCKI tłumaczy, co mówienie per „kochanie” ma wspólnego z ludową rewolucją

88 | **Tak czy owak, dwadzieścia dwa**
WOJCIECH ORLIŃSKI o tym, ile trzeba mieć na koncie, żeby przeżyć apokalipsę

Pismo.
Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Mecenas:
empik

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka ds. Cyfrowych: Barbara Sowa, Projekt makiety: Jacek Utko,
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Zofia Sawicka, Mateusz Roesler (wyd. cyfrowe), Felieton: Marcin Wicha,
Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska, Promocja: Ewa Salamon, Komunikacja i PR: Agnieszka Odachowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki” 2017
w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Przez

Minęło trochę czasu, chyba już można się przyznać. Lubię wybory. Lubię ciszę i poranne serwisy. – Głosowanie przebiega spokojnie. Halo, tu Kraków. Gdańsk. Lipce Reymontowskie. Zakonnice klauzurowe oddały głos o świcie. Miasta pójda wieczorem. Nie-trzeźwy członek zgubił klucze. Straż pożarna szuka zapasowych. Frekwencja rośnie.

Lubię to napięcie. – My już. My dopiero. My z rana. My po powrocie. Ktoś wziął zaświadczenie, ktoś się dopisał, bo tam rodzice, bo tam meldunek. Tyle ludzkich historii! Głosowanie jak pępowina, która nas łączy z dawnymi adresami.

Premier już wrzuca. Przywódca opozycji wrzuca w towarzystwie małżonki. A teraz – ekran rozbłyska – łączymy się z lokalem, gdzie wrzuca nasz chłopięcy prezydent, taki promienny i pełen entuzjazmu, gdy trzeba wykonać jakąś prostą czynność z użyciem długopisu.

– Weź coś do pisania. – Tam będzie. – W internecie pisali, że lepiej ze swoim. Najlepiej zielonym. – Skąd wezmę zielony? – Pożycz od dziecka.

Pożyczam. Długopis ma na końcu uśmiechniętą truskawkę. Piszę fioletowo. Z brokatem. Takiego nie macie, zbiry. Nie dostawicie nam drugiego krzyżyka.

Lubię ten spacer. Spotykamy sąsiadów. – To ich syn? Strasznie wyrósł. Ciekawe, na kogo głosuje? Z młodymi nie wiadomo. Widziałaś jego minę?

Lubię nurkować do mrocznej szkoły. Tam jak w sarkofagu. Jak w kapsule pamięci. Zapach pasty do podłogi. Godło, krzyż, puchary z dzielnicowych zawodów sportowych. Konająca roślina doniczkowa nawet nie wie, że jej gatunek stał się modny.

Lubię, gdy panie z komisji szukają naszej rubryczki. Lubię się podpisywać do góry nogami. Fajne te nowe nakładki.

Najbardziej lubię moment za zasłonką. Trochę jak na tarasie widokowym. Lęk i pokusa, żeby zrobić coś strasznego. Podobno istnieje osiem sposobów narysowania iksa. Nieważne. Rachciach truskawką. Teraz złożyć i wrzucić. Chlup do akwariium, złota rybko. Wiesz, co robić.

Lubię wieczór wyborczy. Lubię, gdy na trzy minuty przed końcem ciszy w telewizji pojawiają się słupki, jeszcze bez podpisów. Pulsują. Rosną i kurczą się na znak, że wszystko może się zdarzyć.

Dwudziesta pierwsza. Słupki zamierają. I ten nasz, kretyn, jak zawsze, potyka się tuż przed metą. Jeszcze podskakuje, staje na palcach, do rana całkiem sflaczeje.

– Popatrzmy, jak rozkładały się głosy – proponuje telewizor. Zaczynają się mapy. Znow jesteśmy Mikronezją. Nieszczęsnym Kiribati pożeranym przez ocean. Tuvalu połkniętym przez zmiany klimatyczne.

MY Z KIRIBATI ZAWSZE DOZNAJEMY SZOKU, gdy nie wydarzy się cud. Wierzmy wyłącznie w zwroty akcji i cudowne zbiegi okoliczności. Kiedy idzie jak zwykle, kiedy wszystko toczy się zgodnie z logiką i rachunkiem prawdopodobieństwa, czujemy się oszukani. Ruszamy na poszukiwanie winnych.

Wszystko przez lepiej. I w ogóle przez rymowane hasła wyborcze. Przez kampanie z aktorami. Przez poranki TOK FM.

Przez ikony wolności, festiwale wolności, śniadania wolności, rodzynki wolności, pralinki wolności, tramwaje wolności i konkursy na plakat poświęcony wolności. Przez kawę z mlekiem. A zwłaszcza przez Kawę Wolności („Tonic espresso w atrakcyjnej cenie dziesięciu złotych z dołączoną karteczką przypominającą o wartościach ważnych dla każdego Polaka”).

Przez dowcipnisiów z titterka, którzy piszą „funfel”, „dziaders” i „wiadomix”. Przez listy do redakcji „Wysokich Obcasów” nagradzane balsamem do ciała. Przez wywiady z Adamem Zagajewskim. Przez żarty z Adama Zagajewskiego. Przez nakładki na zdjęcia profilowe. Przez memy z Schopenhauerem. Przez e-maile zaczynające się od słowa „Drodzy”.

(Wpisujcie swoje typy, kochani).

Wszystko przez nas. Zawsze przez nas. Najlepiej dokonajmy samorozwiązania i jedźmy na wakacje. Jesienią będzie inaczej. Zdarzy się cud, wiadomix.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W LIPCU:

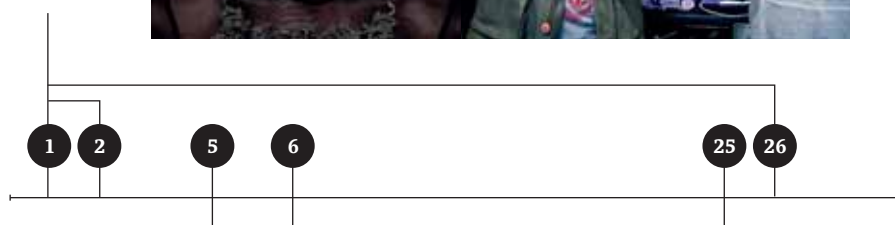
Lato pod znakiem festiwali muzycznych

Upalne letnie wieczory najlepiej spędzić w towarzystwie przyjaciół, słuchając ulubionych artystów na żywo. W wakacje polecamy więc nadchodzące festiwale muzyczne. Fanom elektroniki – 14. edycję Auditoriver, która potrwa od 26 do 28 lipca w Płocku. Miłośnikom mocniejszych gitarowych brzmień przypominamy o mającym miejsce na początku sierpnia Festiwalu Pol'and'Rock w Kostrzynie nad Odrą. A tym, którzy wolą muzyczną alternatywę, proponujemy udać się na weekend do Doliny Trzech Stawów na OFF Festival. Od 2 do 4 sierpnia zagrają tam między innymi Foals, Suede oraz Jarvis Cocker.

WIĘCEJ: polandrockfestival.pl
off-festival.pl
audioriver.pl



Lipiec 2019



Festiwal reportażu

Zapraszamy Was na kolejną edycję pierwszego w Polsce festiwalu reportażu. Warsztaty rodzinne, reportaż radiowy, wystawy fotografii, a przede wszystkim spotkania i rozmowy z wybitnymi polskimi reporterami. W tym roku uczestnicy festiwalu będą zastanawiać się nad tym, czy reportaż może nieść pomoc, czy potrafi wpływać na rzeczywistość. Gośćmi tegorocznej edycji będą m.in. Ewa Ewart, Justyna Kosińska, Olga Wiechnik, Juliusz Cwieliuch i Tomasz Sekielski.

WIĘCEJ: nonfiction.pl

Alternatywnie po Gdańsku

Lato w mieście nie musi być nudne. Nawet jeśli wydaje się, że znamy je na wylot. Wiedzą o tym mieszkańcy i mieszkanki różnych dzielnic Gdańska. Podczas wakacji wcielią się w rolę Lokalnych Przewodników i Przewodniczek. Pokażą najciekawsze miejsca, opowiedzą nieznane historie i zabiorą w nieodkryte rejon: Zaspy, Biskupiej Górki, Dolnego Miasta, Nowego Portu, Oruni, Oliwy i Wyspy Sobieszewskiej. Spacerują bezpłatnie.

WIĘCEJ: www.ikm.gda.pl/
lokalnoprzewodnicy



Kino, które dotyka

Pomimo pozornego wyzwolenia wciąż otacza je kult i jest poddawane ciągłej dyscyplinie. Mamy obsesję na jego punkcie. Ciało – przedstawiane na wiele sposobów i we wszystkich swoich formach – jest głównym tematem tegorocznych Nowych Horyzontów. Miłośników kina z całej Polski zapraszamy więc do Wrocławia na 19. edycję największego letniego festiwalu filmowego. Odbędzie się ona między 25 lipca a 4 sierpnia pod hasłem: „Kino, które dotyka”. Jak co roku na uwagę zasługuje również identyfikacja wizualna festiwalu. Tym razem nawiązuje do performansu Izabeli Chlewińskiej.

WIĘCEJ: nowehoryzonty.pl

Kup książkę



[Kup książkę](#)

MIGRACJE

Nowy Meksyk

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK/RATS

—
José, meksykański robotnik pracujący przy polerowaniu chromu. Parking na autostradzie przecinającej stan Nowy Meksyk. Migranci i migrantki często zmuszeni są do wykonywania najtrudniejszych prac i zajęć, niskopłatnych lub uznawanych za niebezpieczne dla zdrowia. Wbrew popularnej opinii migracja z krajów Ameryki Południowej do USA maleje, a wpływy z tytułu płaconych podatków i udziału w krajowej ekonomii znacznie przekraczają m.in. koszty opieki społecznej. Szacuje się, że w USA żyje ponad 10 milionów obywateli uznawanych za „nielegalnych”.

WSPÓŁPRACA:



[Kup książkę](#)



OPOWIADANIE

Nigdy więcej Capri!

tekst TOVE JANSSON

przełożyła JUSTYNA CZECHOWSKA

H otelowy gong wzywający na obiad zadzwieczał po raz trzeci. Nastąpiło kilka chwil ciszy, w których znudzeni, lecz dobrze wychowani turyści czekali za drzwiami, by nie wyjść na zbyt głodnych – a potem nagle korytarze i schody wypełniły się zniecierpliwionym gwarem. W jednym momencie tłum wmaszerował do jadalni, szczęśliwy, że wreszcie będzie miał co robić.

Restauracja ta być może nie wydawała by się tak całkiem ponura, gdyby z uporem nie próbowała udawać, że jest czymś więcej niż zwykłą jadłodajnią. Nad wejściem, w ramie ozdobionej secesyjnym ornamentem, przedstawiającym lilie wodne, naga dziewczyna bawiła się z węzłem, a wokół niej najróżniejsze anemicznie nadprzyrodzone postaci grały na fletach. Na przeciwległej ścianie powieszono *Ich pierwsze spotkanie* w nazbyt bengalskim blasku księżycy.

Siedząca naprzeciwko swego zaczytanego w gazecie męża pani Grönros szczerze nie znosiła zupy, męża, w ogóle całego Capri. Nie mogła pojąć, dlaczego te malowidła tak potwornie ją irytują. Po prostu czuła, jak z niej drwią. Naśmiewają się, ponieważ dała się nabrać na całą tę przeklętą wyspę, na której z dnia na dzień miała coraz silniejsze wrażenie, że się ją szufladkuje jako kolejny, numerowany okaz w podróży poślubnej. Wiedziała, że wszyscy siedzący przed *Ich pierwszym spotkaniem* są nowożeńcami. Rodziny usadzono na środku sali, natomiast samotnych turystów rozważnie wciśnięto w okienne wykusze, plecami do ścian.

Dlaczego, na Boga, nie pojechali na Wyspy Kanaryjskie, do Estonii albo do Marsylii, gdziekolwiek, gdzie wszystko nie było tak potwornie świadomie ustawione *à la tourist*? I czy Albert nie mógłby jej zabrać do zwykłej włoskiej knajpy, gdzie romantyczności nie trzeba wieszać na ścianach ani egzekwować na rachunku, bo ta po prostu unosi się w powietrzu, jest w spaghetti – pani Grönros sama nie wiedziała – ale atmosfera jest tam, zupełnie naturalnie, nie trzeba się jej wstydić ani czuć się jak idiota.

„Grochówka” – rozmyślała ironicznie pani Grönros. Klopsiki i *Mehlspeise mit Schlagsahne*. Rzetelnie, obficie i śmiertelnie nudno. Dookoła higienicznie i białe w aryjski sposób, a pośród importowanych jeden

przecudnej urody włoski kelner, dalej te wszystkie dziko romantyczne obrazy, aby człowiek ani na moment nie tracił przyjemnej świadomości, że znajduje się na jednej z najpiękniejszych wysp na ziemi.

Spojrzała na męża. On także miał przypiętą etykietkę Capri. Sandały na korkowej podeszwie, spodnie tego samego rodzaju co noszone przez rybaków, szeroki czerwony szal owinięty w pasie. Czysty kohnierzyk i krawat z The Gentleman, butiku położonego na esplanadzie w ich rodzinnym mieście, nadawały całości kulturalnego pokostu. „I ośmieszały go” – pomyślała.

Nie żeby miała coś przeciwko romantyczności, wcale nie! Uwielbiała prymitywność, dzikie i dziewicze rzeczy, to, co... no, naturę. Biedni Włosi! Tylko pomyśleć, jaki szczęśliwy, prosty żywot wiedli na tej rajskiej wyspie, żywot oparty na darach ziemi i morza... i jeszcze ten uprzejmy Munthe, który był dla nich jak ojciec – dla tych brązowych, pięknych, temperamentnych i co tam jeszcze, a potem przyjechali tacy turyści, wszystko im popsuli, ze wszystkiego zrobili banał...

Pan Grönros nachylił się nad stolikiem i poklepał ją po dłoni.

– Jedz już, małeńka. O czym tak rozmyślasz?

– O niczym. Zresztą nie lubię niemieckich zup. Nie po to przyjechałam do Włoch, żeby jeść niemiecką zupę.

– Moja małeńka, zupa jest wyśmienita. Naprawdę smaczna.

– Nie mów do mnie cały czas ma-leń-ka! Brakuje mi atmosfery. To wszystko tutaj wokół, u nas też to jest... Zupa! Matko!

– Ależ rybciu, nie rozumiem, o co ci chodzi? Człowiek musi przecież jeść. Potem wyjdiesz na dwór i popatrzysz sobie na atmosferę.



– Świetnie wiesz, o co mi chodzi. Nie musisz ironizować! Uważam, że to idiotyczne jechać na Capri i najpierw jeść niemiecką kolację, potem siedzieć w amerykańskim barze, a na końcu we francuskim kabarecie albo skandynawskiej kawiarni... Pragnę Włoch, a nie międzynarodowego bigosu upichconego na cygańskiej muzyce, tyrolskich strojach i czym tam jeszcze.

– Naprawdę mają tu cygańską orkiestrę? – zdziwił się pan Grönros. – O tym nie wiedziałem.

– Ach! – wybuchła jego żona, która miała już gułę w gardle. – Dlaczego zawsze musisz być taki? W ogóle mnie nie rozumiesz!

Zapadła cisza. Cudnej urody kelner zabrał już pani Grönros, podczas gdy ona nadal rozmyślała. Miała ochotę pożyć w prymitywny sposób. Łowić ryby, może popływać pod skałami. Jeść spaghetti i pić wino z prostymi ludźmi, zaprzyjaźnić się z nimi. Stać na Monte Solaro, podziwiać, jak słońce zachodzi nad Anacapri. Anacapri? Ależ tak – tam powinny ostać się resztki autentycznego włoskiego ducha, prawdziwej romantyczności. Czy nie mogliby się tam przebiec?

Myśl ta nią zawiądnęła. Żadnego pustego życia na plaży, żadnych godzin straconych na przepełnionej turystami *piazzę*, żadnych sprzedawców pamiątek ani przewodników, jedynie zdrowa egzystencja w zapomnieniu, tylko z Albertem, w jakiejś malowniczej wiosce rybackiej.

Prawie się wzruszyła, gdy nachylając się nad klopsikami, wprowadzała męża w genialność swego planu. Ale on nadal nie rozumiał:

– Anacapri? Na co, u licha? Po co miałbym się wysilać dla niewygodny? Sama przecież mówiłaś, że mamy to u nas. Ja tu odpoczywam, wyłączam się, rozumiesz? Cieszę się, że połowa Capri staje na głowie, by zaserwować mi wszystko w przyjemnej formie, w elegancki sposób...

– Z dyskretnie złożonym na pół rachunkiem – wtrąciła pani Grönros ironicznie.

– Do diabła, miałbym nie płacić za te luksusy? Już sama świadomość, że autochtoni chodzą wokół mnie, turyści, na palcach, i cały czas się starają, żeby było mi dobrze, samo to wiele dla mnie znaczy. W domu nawet kot nie...

– No nie wiem! – ostro przerwała mu pani Grönros. – Na palcach! Ciekawe! Raczej cię oszukują. Potworni obcokrajowcy, którzy oszukują zarówno tych biednych Włochów, jak i nas!

– Ależ rybciu! Co na Boga masz na myśli, mówiąc „tych biednych Włochów”? W końcu to oni serwują nam i Capri, i rachunki!

– Nie ci prości Włosi, Albercie. Te dobre, spontaniczne duszyczki, które żyją tak, jak żyli sto lat temu, zanim turyści zniszczyli ich wyspę!

– I twierdzisz, że znajdziemy tych ludzi w Anacapri?

Pokiwała głową, wyprostowana, gotowa do ataku. Przez chwilę patrzyli na siebie, wyczekując. Oczami wyobraźni zobaczył swój żywot w Anacapri – nudny i niewygodny. Bez ciepłej wody w kranie. Bez uprzejmego portiera. Bez wypastowanych pantofli. Być może konina, muchy... ptaki, cholera wie. Upał, tam na górze z pewnością panuje upał. Autochtoni będą się na niego wykrzywiać – tu jest przynajmniej mężczyzną, którego stać na to, by przewieźć żonę przez całą Europę i pokazać jej perłę Morza Śródziemnego (za co nie była wdzięczna). Głośno oznajmił swą decyzję:

– Nie. Absolutnie tam nie pojadę.

Rybica Grönros usłyszała pewność w jego głosie. W desperacji spojrzała na swój pudding, zapłonął w niej bunt, po czym rzekła:

– W takim razie pojadę sama. Zobaczmy, kto miał rację.

—
RZECZYWIŚCIE TO ZROBIŁA. Rozstali się jeszcze tego samego popołudnia, nieco zaskoczeni i zdezorientowani, oboje z poczuciem ulgi i przyszłego triumfu. Patrzył za nią, jak oddala się, podskakując na osle. Też pomyśl, kiedy są i auta, i dorożki. Właściciel osła trzymał go mocno za ogon – wyglądało to żałośnie. Pan Grönros potrząsnął głową, po czym poszedł na swoją *five o'clock tea* na *piazza*.

I tak minął tydzień. Ich wolność była bezgraniczna, całkowicie pozbawiona momentów irytacji. Myśleli o sobie z niejakim współczuciem, posłali nawet do siebie po liściku, w którym napisali, jak im dobrze.

U pana Grönrosa wyczyszczono plażę, hotelowe śniadania wzbogacono o prawdziwe masło, zaproponowano mu piękniejszy pokój, na *piazza* ustawiono nowe przeciw-słoneczne parasole; środek sezonu, orkiestra kameralna i wszelkie możliwe atrakcje. Pani Grönros natychmiast nawiązała duchowy kontakt z ludem, według tego, co sama pisała, prowadziła ten rodzaj egzystencji, którą nasz Pan stworzył nam u zarania dziejów.

Rzecz jasna w jej raju był także pewien Adam. Ale jej zainteresowanie nim ograniczało się do takiego, które człowiek poświęca wdzięcznemu przedmiotowi studium; był reprezentantem dobroci, spontaniczny Włoch, nietknięty przez inwazję turystów i tym podobne nowoczesne ohydztwa.

Nie wiadomo, co *signor* Lucio myślał o swej platonicznej przyjaciółce. Kiedy podeszła do niego w falującym stroju, nasmarowana olejkiem, z kwiatkiem wetkniętym we włosy, mrugnął, zaczął gwałtownie gestykulować, ucałował jej dłoń, zapewniając, że jest podobna do Afrodyty.

Zaprowadził ją na Monte Solaro, do wszystkich niedostępnych miejsc, na usiane kwiatami ścieżki, podsadzał ją na skały, wyjaśniał, opowiadał legendy, śpiewał jej, dyskutował o polityce. A wszystko w zachwycająco prymitywny sposób, nigdy nie nosił kołnierzyków, butów ani innych przeszkadzających atrybutów kultury. Pani Grönros była przeszczęśliwa. Głównie dlatego, że tak szybko udało jej się wrócić na łono pierwotnego życia i że została zaakceptowana przez jego przedstawiciela.

I właśnie dlatego tak bardzo się oburzyła, kiedy pewnego dnia nakryła Lucia na kłamstwie. Wmówił jej, że rekiny groma-

dzą się podczas pełni i tańczą u wejścia do Groty Azurro, co sezon w Marina Grande pożerają pół tuzina turystów oraz że niemal cała tutejsza ludność to analfabeci.

Pani Grönros natychmiast napisała o tym mężowi. Po części dlatego, by pochwalić się wiedzą na temat zjawisk zachodzących na wyspie, takich, które umykają zwykłemu turyście, po części dlatego, że rzeczywiście obawiała się, że Albert może zostać pożarty. Pan Grönros zaśmiał się, po czym odpowiedział naprędce: to zwykłe plotki, jego portier ma znacznie lepsze rozeznanie.

Wygrana męża ją rozżłościła, zażądała od Lucia wyjaśnień. Leżeli pod drzewkiem oliwnym, między nimi butelka chianti i kawałek sera. Słońce zachodziło dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, Lucio obierał dla niej pomarańcze i nazywał ją „Afrodytą” – wszystko było nieskończenie piękne.

Ale ją oszukał. Dlaczego?

– *Madonna mia* – odparł rozbawiony. – Czyż nie tego właśnie pani oczekuje? Sam uznałem, że to świetna historia, ta z rekina-
mi. Pani też się spodobała, czyż nie?

– Ależ Lucio, przecież to nieprawda!

– Och, *magari*, czymże jest prawda? Jeśli dajemy wam Capri takie, jakie jest, nie chcecie go.

– No, a ofiara dziękczynna, towarzyszy podróży, który zjechał ze zbocza, i Munthe, który w święta zaprasza wszystkich na lody, to też kłamstwo?

Lucio skrzywił się zażenowany, po czym rozciągnął się na trawie.

– *Carissima*, zrobiłem, co w mojej mocy. Myśli pani, że chcę ją oszukać?

– Ależ to właśnie pan zrobił!

– Przeciwnie! Tylko ze względu na panią przez tydzień chodziłem boso i się nie goliłem! Myśli pani, że każe pani płacić za nic?

– Pieniądze! – wybuchła pani Grönros przerażona.

– Och nie, proszę tak nie mówić! Tylko prezencik, maleńki gest, żeby pokazać, że doceniła pani moje towarzystwo. Nie jestem jak reszta przewodników! Jestem taktowny, dobrze wychowany. Wiem, jak traktować *signoriny*, z delikatnością, ubarwić im życie, upiększyć.

Pani Grönros spojrzała na chianti, ser i wianek, który trzymała na kolanach, na nienaganny widok – i nagle zatęskniła za



domem. Zatęskniła za pudrowaniem nosa, za tym, by znów móc nosić pończochy, za wyszkolonymi kelnerami i herbatą na tarasie. Zatęskniła za Albertem.

Wstała gwałtownie, wytrzepała sukienkę i zerwała z włosów kwiaty. Lucio obserwował ją z zainteresowaniem, nieruchomo.

– *Ebbene, signorina?*

– Wieczorem się rozliczymy – mruknęła. Nawet na niego nie spojrzała, tylko ruszyła samotnie w stronę wioski.



kwiaty, a pudełka i flakoniki toaletowe ustawiono z nienaganną symetrią. Rzecz jasna wszystko to oznaczało kolejne napiwki. I co z tego? Uprzejmość, wygoda, szacunek. Usiadł na brzegu łóżka i spojrzał na precudny krajobraz obramowany markizą na tarasie.

Poczuł niewielki niepokój spowodowany doskonałością tego wszystkiego. Jakież to było miłe – przyłapać woźnicę na oszustwie. Przebiegł wzrokiem po bezosobowym, wytapetowanym na biało pokoju. Wszystko idealne.

Nagle się wzdrygnął. Jakieś żyjątko pełzło po lustrze, maleńkie i czarne. Ostrożnie się zbliżył. Nie. To nie było to, co sądził, tylko jakaś mucha. Zabił ją zawiedziony, sprawdził, czy ciepła woda nie strajkuje, czy opróżniono kosze na śmieci – a następnie znów usiadł na łóżku, by oczekiwać kolacji.

To doprawdy idiotyczne, cała ta sprawa z rybcą w Anacapri. Ciekawe, jak jej się żyło w prymitywnych warunkach. W listach brzmiało to jak bajka...

Ale ten Giovanni czy jak mu tam! Który wmawiał jej masę głupot o tańcu rekinów i lodowych przyjęciach u Munthego! Zdaje się, że całe dni spędza w towarzystwie tego „przedstawiciela duszy ludu”. Pan Grönros siedział na brzegu łóżka i był coraz bardziej wściekły. Słuszne rozgoryczenie – na niedociągnięcia w hotelu czy oszustwo – mogłoby mu pomóc, ale ta złość, którą sam sobie w pewien sposób zgotował, była po prostu nieprzyjemna i głupia.

Dokładnie o ósmej zadzwieczał gong. W wybuchowym nastroju odnalazł swój stolik, obecnie umieszczony w rzędzie samotników, w taktownym zagłębieniu. Siedział teraz nad zupą, szczerze nienawidząc *Ich pierwszego spotkania*. Miał nadzieję, że stek będzie przypalony, że zacznie padać, że kelner potknie się, niosąc wazę z zupą.

Ale wszystko przebiegało perfekcyjnie, jak zwykle. Przy puddingu podszedł kamerdyner i z tajemniczym uśmieszkiem szepnął, że dziś ma dla szanownych gości specjalną, maleńką niespodziankę. Aby mogli się poczuć jak u siebie, poproszono słynną osobę o aryjskim pochodzeniu o zaśpiewanie w parku kilku nordyckich pieśni.

Pan Grönros wyraził zachwyt ze skrzywionym uśmieszkiem. A jutro, ciągnął kamerdyner, zostanie zorganizowana wycieczka do Positano. Szanowni goście nie muszą się o nic troszczyć; wszystko załatwiła dyrekcja, szybko i wygodnie. Koszty, bagatela, spontanicznie dodamy je do rachunku. Jeszcze raz się uśmiechnął, dyskretnie podniósł z podłogi serwetkę pana Grönrosa, eleganckim gestem poprawił kwiaty wazonie i pospieszenie się oddalił.

Pan Grönros gwałtownie wstał od puddingu. Od razu wiedział, jak bardzo nie znosi, kiedy się go transportuje niczym paczkę „tą stroną do góry”, kiedy się nim zajmują, karmią, nadskakują. Miał ochotę być szorstki, coś stłuc. A jeszcze lepiej, gdyby ktoś był wobec niego naprawdę bezczelny. Odepchnął *piccola* i sam otworzył hotelowe drzwi – mocno. Ruszył w stronę Anacapri.

SPOTKALI SIĘ MNIEJ WIĘCEJ w połowie drogi. Przez moment siedziała oszołomiona w drodze, po czym wyskoczyła z niej i głośno rozplakała się ze szczęścia w jego ramionach. Niczego nie wyjaśniali, o nic nie pytali.

Pan Grönros powiedział tylko: – Do domu, co? – na co ona natychmiast odparła: – Tak – i nigdy więcej Capri!

Późną wiosną 1939 roku Tove Jansson podróżowała samotnie po Włoszech, gdzie z dnia na dzień coraz wyraźniej odczuwała politycznie napiętą atmosferę. Trafiła między innymi na przepętną turystami wyspę Capri. Zainteresowanego czytelnika odsyłamy do książki *Listy Tove Jansson* w przekładzie Justyny Czechowskiej, wydanej przez Marginesy w 2016 roku. Opowiadanie powstało w 1939 roku po powrocie autorki do domu, w polskim przekładzie ukazuje się po raz pierwszy.

© Tove Jansson 1939, Moomin Characters™

Jacinda Ardern: Kieruję się intuicją

tekst TOBY MANHIRE

przetłóżył JAN DZIERZGOWSKI

PO NAJGORSZYM ATAKU TERRORYSTYCZNYM w dziejach Nowej Zelandii pani premier opowiada o jego następstwach, o znalezieniu się na świeczniku i o tym, jak kraj dochodzi do siebie.

Coś ci pokażę – mówi Jacinda Ardern. Siedzimy na sofach w jej gabinecie na dziewiątym piętrze Ula, okrągłego budynku w Wellington, gdzie mieści się Urząd Rady Ministrów Nowej Zelandii. Minęło zaledwie dziesięć dni od ataku terrorystycznego w Christchurch, w wyniku którego pięćdziesiąt osób zginęło podczas modlitw w meczetach [kilka tygodni później jedna osoba zmarła w szpitalu w wyniku odniesionych obrażeń – przyp. red.]. Na zewnątrz flagi opuszczone są do połowy masztu. Przy szklanych drzwiach stoi dwóch policjantów; każdy trzyma karabin półautomatyczny. Tu, na dziewiątym piętrze, promienie słońca przebijają się przez panoramiczne okno. W oddali można dostrzec port. Chłopiec w wieku przedszkolnym, synek któregoś z pracowników, jeździ w poczekalni na rowerku.

Zapytałem Ardern o jej pierwszą reakcję na wiadomość o ataku. Dodałem też, że od samego początku kładła wyraźny nacisk na wspólnotę i solidarność. Zwięźle i twardo przedstawiła wydarzenia po swojemu. Spra-

wiało to wrażenie, jakby kierowała się przemyślaną strategią. Czy rzeczywiście tak było?

– Raczej nie – odpowiada Ardern. – Nie wiele decyzji podjęłam wówczas z rozmysłem. Kierowałam się intuicją. Wydaje mi się, że to naturalne w przypadku takich wydarzeń. Nikt nie ma czasu, żeby usiąść i planować. Człowiek po prostu robi to, co wydaje mu się słuszne.

Podchodzi do biurka i z szuflady wyjmuję kartkę formatu A4, kilkakrotnie złożoną na pół. Widnieje na niej wydrukowany porządek spotkania organizowanego przez Ardern w Auckland wieczorem w przeddzień ataku. Na odwrocie znajdują się notatki sporządzone zaokrąglonym pismem pani premier. Z każdym wierszem coraz więcej pośpiechu. Słowa stają się mniej czytelne. Kilka fragmentów podkreślono jasnopomarańczowym kolorem.

„Jedna osoba zatrzymana, mogą być inni sprawcy”.

„Akt niesłuchanej przemocy. Nie ma na to przyzwolenia w NZ”.

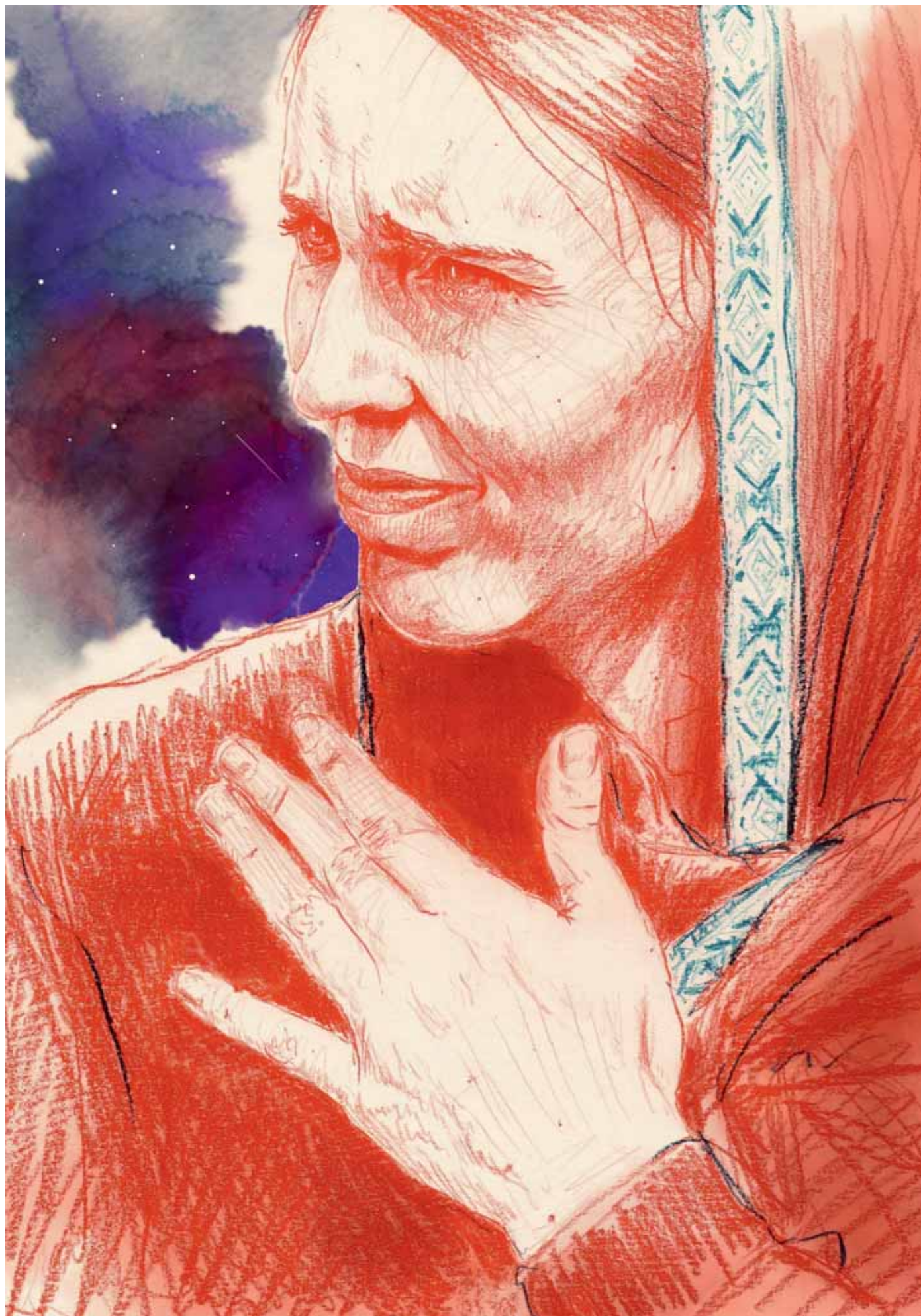
„Oni to też my”.

– To moje notatki na pierwszą konferencję prasową – tłumaczy Ardern. – Nocowałam w hotelu. Miałam mało czasu, żeby się przygotować.

Kiedy zadzwonił telefon, Ardern jechała minivanem w towarzystwie burmistrza New Plymouth, niewielkiego miasta na zachodnim brzegu Wyspy Północnej. Wcześniej tamtego ranka, w piątek 15 marca, pani premier nieoczekiwanie zjawiała się w miejscowej szkole, by spotkać się z uczniami i uczennicami biorącymi udział w globalnym strajku klimatycznym. „Słyszemy wasz głos. Wiemy, że musimy działać”, powiedziała im. Potem pojechała odwiedzić nową szkołę, miała też w planach otwarcie festiwalu muzycznego.

– Informacje były bardzo wyrwykowane, nie dawały pełnego obrazu – wspomina. – Nikt nie potrafił nawet potwierdzić liczby ofiar. Przy takich wydarzeniach, chociaż mogę się tylko domyślać, bo nigdy wcześniej niczego podobnego nie przeżyłam, nie ma czasu na zastanawianie się, jakiego języka należy użyć.

– Wiedziałam dokładnie, co chcę powiedzieć – dodaje. – Stało się to dla mnie oczywiste natychmiast, kiedy tylko usłyszałam, że celem ataku padł meczet. Nie szukałam jednak konkretnych słów. Myślałam jedynie o emocjach, o przesłaniu, które uważałam za potrzebne w tamtym momencie.



rysunek AREK HAPKA

[Kup książkę](#)

Ardern wielokrotnie podkreślała, że wydarzenia z 15 marca to nie jest jej historia, lecz ofiar, ich rodzin, rannych, społeczności muzułmańskiej i Christchurch. A najważniejsze słowa padły z ust siedemdziesięcioletniego Hajiego-Daouda Nabiego, który na moment przed śmiercią zwrócił się do zamachowca stojącego w drzwiach meczetu Al Noor: „Witaj, bracie”.

Niemniej jednak reakcja pani premier i język przez nią wybrany miały olbrzymie znaczenie. Kilka godzin po tym, jak urodzony w Australii biały suprematysta zastrzelił pięćdziesiąt bezbronných osób w dwóch meczetach, oznajmiła, że był to akt terroryzmu. Oświadczyła stanowczo, że nie zamierza wypowiadać nazwiska sprawcy. („To przestępca i ekstremista” – stwierdziła cztery dni później na forum parlamentu. „Ale w moich przemówieniach pozostanie beziemny”). Żadnej ostrej, wojennej retoryki, jakże często pojawiającej się po atakach terrorystycznych. Przyspieszono reformę przepisów o dostępie do broni, wprowadzając zakaz posiadania broni półautomatycznej, i zawiązał się w tej sprawie ponadpartyjny konsensus. W ramach rozpoczętego dochodzenia śledczy będą musieli odpowiedzieć na pytanie, czy nowozelandzkie służby bezpieczeństwa nie skupiły się za bardzo na dżihadyzmie, lekceważąc inne zagrożenia.

Oprócz słów potężną siłę miały też obrazy. W sobotę 16 marca, po kolejnej konferencji prasowej, Ardern poleciała na południe do Christchurch, gdzie spotkała się z przedstawicielami społeczności muzułmańskiej. – Przynoszę żałobę całej Nowej Zelandii – powiedziała. – Jestem tu, żeby stanąć razem z wami. (...) Czujemy ból, krzywdę i gniew. – Na znak solidarności nosiła na głowie chustę; gest ten błyskawicznie zwrócił uwagę całego świata.

– Pewne aspekty tej sytuacji były dla mnie zaskoczeniem – mówi dzisiaj Ardern. – Kiedy potwierdzono, że sobotnie spotkanie dojdzie do skutku, zapytałam przyjaciółkę, czy mogę od niej pożyczyć chustę, bo przecież moje zostały [w domu – przyp. T.M.] w Auckland. Założenie chusty było dla mnie oznaką szacunku, rzeczą zupełnie oczywistą. W ogóle nie musiałam się nad tym zastanawiać.

Mówiono jej później, że chusta stała się ważnym symbolem solidarności z nowoze-

landzkimi muzułmankami, które czuły się zagrożone. – Nie myślałam w tych kategoriach. Ogarnął mnie głęboki smutek, ale też było dla mnie bezsporne, że część ludzi się boi. Atak wymierzono w społeczność muzułmańską. A przecież wyznawcy tej wiary wyróżniają się strojem.

Nie musiała też długo rozważać decyzji, by nie wymieniać nazwiska zamachowca. – Uznałam to za oczywistość. – Ardern nie dostała żadnego raportu ani opracowania, z którego wynikałoby, że przywódcy polityczni i media powinni odmawiać terrorystom jakże upragnionej sławy. Przejrzała natomiast manifest sprawcy, siedemdziesięcioczworostronicowy tekst opublikowany w internecie. – Nie przeczytałam go w całości, ale widziałam dostatecznie dużo, by dowiedzieć się, jakie przyświecały mu cele.

Atak w Christchurch miał nowy, odróżniający aspekt niczym z jakiejś dystopii: był transmitowany na żywo na Facebooku, ze wszystkimi krwawymi szczegółami, po czym rozprzestrzenił się po sieci jak przerwany piorun. Wyskakiwał na stronach, na których jętrzą biali suprematysty, i na wielkich platformach medialnych. Ardern podjęła również tę kwestię w swoim przemówieniu na forum parlamentu cztery dni po zamachu. „Nie ulega wątpliwości, że idee oraz język podziałów i nienawiści istniały od wielu dekad. Jednak formy ich szerzenia oraz narzędzia organizowania się są nowe – mówiła. – Nie możemy po prostu siedzieć z założonymi rękoma i akceptować tego, że takie strony istnieją, a ich właściciele nie odpowiadają za publikowane tam treści. Właściciele są wydawcami, a nie tylko doręczycielami. Nie wchodzi w grę, by czerpali zyski, wyrzekając się wszelkiej odpowiedzialności”.

Co zatem powinien zrobić Facebook?

– To problem globalny. Nie dotyczy tylko Nowej Zelandii – mówi dziś Ardern, starannie dobierając słowa. – Uważam, że ludzie oczekują rzetelnego egzekwowania wyznaczonych standardów społeczności. Chcemy, żeby [Facebook – przyp. tłum.] inwestował w działania zdolne zapobiegać takim szkodom, jakie uczyniono po zamachu. I, bądźmy szczerzy, również w poprzedzającym go okresie.

Ardern upija łyk herbaty, choć przyznaje, że po latach odstawienia wróciła też do



kawy. Dodaje z uśmiechem, że jej partner, Clarke Gayford, nie jest z tego powodu zbyt szczęśliwy. (Później tego samego dnia pytam Gayforda, gospodarza programu telewizyjnego o łowieniu ryb i ojca dziewięcioletniej córki Ardern, Neve, jakie jest jego stanowisko w kwestii powrotu pani premier do picia kawy. – Mogę to zrozumieć, biorąc pod uwagę, że w zeszłym tygodniu ani razu nie skończyła pracy przed północą, a czasami zaczyna dzień o piątej rano – odpowiada. Jedną z asystentek pani premier zdradza mi poza tym, że Neve zaczęła ząbkować).

Ardern mówi, że zaskoczyła ją liczba materiałów prasowych oraz to, jak starannie analizowano każde jej słowo. – Te późniejsze dyskusje... Czytałam artykuły, w których roztrząsano to [przemówienie – przyp. T.M.] – mówi, machając kartką A4 i śmiejąc się ponuro. – Tu są notatki do mojej pierwszej konferencji prasowej. Notatki do drugiej konferencji napisałam w telefonie, jadąc do Wellington.

NINIEJSZY ARTYKUŁ miał pierwotnie pójść do druku w dniu, w którym pojawiły się wiadomości o ataku w Christchurch. Wcześniej rozmawiałem z Ardern dwa razy: po śniadaniu w hotelu w Auckland i w Waitangi, na krańcu Wyspy Północnej. Było to na początku lutego, kiedy pani premier uczestniczyła w obchodach upamiętniających podpisanie w 1840 roku porozumie-



Jacinda Ardern (w środku) w Christchurch, podczas ceremonii ku pamięci ofiar strzelaniny, która miała miejsce 15 marca 2019 roku w meczecie w Christchurch.

nia tworzącego Nową Zelandię przez reprezentantów brytyjskiej korony i wodzów maoryskich plemion.

Tamten artykuł opowiadał o przywódczyni, która zobowiązywała się, by robić więcej na rzecz przeciwdziałania nierównościom nadal dotyczącym rdzennych mieszkańców. Rok 2019 miał być „rokiem wywiązania się z obietnic”. Pojawiały się jednak pierwsze oznaki, że słabnie Jacindomania, na fali której Ardern objęła urząd. Nie udało się osiągnąć zakładanych celów sztandarowego programu budownictwa mieszkaniowego. Zanosilo się na konflikt w związku z możliwym wprowadzeniem podatku od zysków kapitałowych. Rząd Ardern, w którym prym wiedzie Partia Pracy, nieustannie spotykał się z nieufnym pytaniem, czy uda się przeprowadzić obiecane „transformacyjne” reformy, skoro każda zmiana prawa wymaga kompromisów z koalicyjnymi partnerami.

Te prozaiczne wyzwania wkrótce powrócą. Na razie jednak wydają się należeć do innej epoki. Ardern przytakuje. – Mówiłam komuś ostatnio, że mam wrażenie, jakbym już strasznie dawno nie była na północy [czyli w domu – przyp. T.M.]. Czas niesamowicie się rozciągnął. – W jakimś momencie pytam, którego dnia w minionym tygodniu rozmawiała z pewnym zagranicznym polity-

kiem. – Trochę mi się to miesza – odpowiada, śmiejąc się gorzko. – To było z pół życia temu. Mniej więcej.

Przed siedmioma tygodniami obserwowałam Ardern siedzącą na ganku Te Whare Rūnanga, maoryskiej świetlicy społecznościowej w Waitangi. Było tuż po jedenastej przed południem. Ponad trawnikiem niosły się przemówienia polityków i przedstawicieli miejscowej starożytności.

Ardern uśmiechała się, patrząc, jak jej partner wraca na swoje miejsce w trzecim rzędzie plastikowych krzeseł i sadza sobie Neve na kolanie. Przed chwilą zmienił małej pieluchę w samochodzie za rogiem. Świeciło mocne słońce. Neve, ubrana w niebieski czepek i sukienkę w groszki, gaworzyła wesoło.

– Słyszałam ją z daleka. Trochę hałasowała – powiedziała Ardern, kiedy spotkaliśmy się parę godzin później w hotelu. Rok wcześniej jako pierwsza premier Nowej Zelandii wygłosiła przemówienie podczas

pōwhiri [ceremonii powitania – przyp. tłum.] w Waitangi (i jako najmłodsza, bo miała za ledwie trzydzieści siedem lat). Przy tamtej okazji Neve, jeszcze w brzuchu mamy, też dała znać o sobie. – Bardzo mnie kopała, zwłaszcza w *marae* [maoryskim miejscu spotkań – przyp. T.M.], pewnie z powodu hałasu, *haka* [rytualnego tańca połączonego ze śpiewem – przyp. tłum.] i wszystkich występów. Dała mi popalić.

Tamtego dnia Ardern zaczęła swoją mowę od wspomnienia sprzed roku: – Poprosiłam was, żebyście rozliczali mnie i nas wszystkich z obietnic. – Przedstawiła niedawne reformy, mające na celu wsparcie znajdującej się w niekorzystnej sytuacji mniejszości maoryskiej i przeciwdziałanie ubóstwu dzieci, zwłaszcza przez wprowadzenie tak zwanych pakietów rodzinnych, zapewniających pomoc rodzinom uzyskującym niskie i średnie dochody. – Mamy jeszcze dużo do zrobienia – powiedziała, zresztą nie ostatni raz tamtego dnia. – Jestem jednak optymistką. Taka się urodziłam i polityka na razie nie wybiła mi tego z głowy. – W zeszłym tygodniu spytałem, czy atak w Christchurch wpłynął na jej optymistyczną postawę życiową. – Nie – odpowiedziała. – Moja wiara w człowieczeństwo Nowozelandszczyków tylko się umocniła. Wiem po prostu, że musimy ciężko pracować nad jej upowszechnieniem.

Optymizm stanowi niezbywalną cechę charakteru Ardern. Jako uczennica założyła (co zdradziła jej mama) klub szczęśliwych. Kiedy na kilka tygodni przed wyborami w 2017 roku została przywódczynią Partii Pracy, zbudowała kampanię wokół – jak sama mówi – „jednoznacznie pozytywnego” przekazu. Nie wprowadzono żadnych zasadniczych zmian w oficjalnym programie wyborczym, ale udało się wzbudzić zainteresowanie opinii publicznej. Główne hasło brzmiało: „Zróbmy to!”. Przeciwnicy sztydzi, że to tylko „cukierkowe slogany”, jednak partia zyskała na fali Jacindomanii.

Wielu przewidywało, że fala ta roztrzaska się o ponurą skałę w postaci Winstona Petersa, którego nacjonalistyczne ugrupowanie Najpierw Nowa Zelandia (będące nieco odpucowanym odpowiednikiem brytyjskiej UKIP, Partii Niepodległości Zjednoczonego

*Gdy na szczycie ONZ
Ardern opowiedziała się za
polityką „dobroci i empatii”,
amerykański „Vogue” określił ją
mianem „anty-Trumpa”.*

Królestwa) stało się po wyborach języczkiem u wagi. Peters postanowił jednak, że nie zawrze koalicji z rządzącą od trzech kadencji Nowozelandzką Partią Narodową. – Przyszła pora, by skończyć ze *status quo* – oznajmił i w wieku siedemdziesięciu dwóch lat został wicepremierem w rządzie o połowę młodszej polityczki.

Kilka miesięcy później ogłoszono, że premier Ardern jest w ciąży. Wiadomość ta pojawiła się najpierw na Instagramie. Ardern, która nadal sama zarządza swoimi kontami w serwisach społecznościowych, umieszcza zdjęcie przedstawiające trzy haczyki wędkarskie: dwa duże i jeden mały. Natychmiast zaczęły się spekulacje w mediach. Co to może oznaczać? – Tak naprawdę po prostu poszedłem do szopy, wziąłem moją skrzynkę ze sprzętem rybackim i wyciągnąłem kilka haczyków – opowiadał mi Gayford parę miesięcy temu. – Pomyślałem: wyglądają w porządku, nadadzą się.

Ardern zdążyła już zasłynąć z młodego wieku. Wiadomość, że jako druga przywódczyni w najnowszej historii urodzi dziecko podczas sprawowania urzędu (pierwszą była Benazir Bhutto dwadzieścia osiem lat wcześniej), rozeszła się po całym świecie. Oto pojawiła się postępową polityczką stanowiącą ulepszoną wersję premiera Kanady Justina Trudeau: młoda kobieta o otwartym umyśle pośród siwiejących mężczyzn wciąż stanowiących większość globalnej elity. Na szczycie ONZ w Nowym Jorku we wrześniu 2018 roku Ardern argumentowała na rzecz przeciwdziałania zmianom klimatycznym i opowiedziała się za polityką „dobroci i empatii”. Fakt, że towarzyszyli jej partner oraz mała córeczka, tylko wzmacniał jej przekaz. Amerykański „Vogue” określił Ardern mianem „anty-Trump”.

Jak gdyby macierzyństwo i rządzenie Nową Zelandią nie zapewniały dostatecznie wielu wyzwań, Ardern została uznana za globalną liderkę praw kobiet. „Stoi na czele rządu, ale przede wszystkim zmienia reguły gry” – zachwycła się w zeszłym roku Sheryl Sandberg, szefowa operacyjna Facebooka. „Polepszy los kobiet i dziewczyn na całym świecie”.

Gayford, który obserwuje to wszystko z bliska, mówił mi jeszcze przed atakami w Christchurch, że imponuje mu szczególnie, jak znakomicie Ardern panuje nad

Bywam pytana, czy porównuję się do polityka X albo Y z takiego czy innego kraju. Głównie chodzi o mężczyzn, bo przecież kobiet w polityce jest niewiele. Ciekawe, czy im zadaje się te same pytania. „Czy porównuje się pan z Jacindą Ardern?”. Pewnie żaden nie odpowiedziałby twierdząco.

szczegółami. – Żebyś tylko widział, ile człowiek na tym stanowisku musi się nacytać. Co wieczór siedzi do godziny dziesiątej albo jedenastej, przeglądając papiery rządowe. Liczba detali, które przyswaja i zapamiętuje, jest dla mnie nie do pojęcia. Ja w zeszłym tygodniu przez nieuwagę pół dnia chodziłem z koszulą założoną na niewłaściwą stronę.

Ardern mówi, że Neve pomaga jej zachować odpowiednią perspektywę. – Czasami zdarza mi się uczestniczyć w ważnym wydarzeniu i czuję presję, by dobrze wypaść. A potem wychodzę, po kwadransie jestem w hotelu i Neve opluwa mi buty papką z dyni. Oba te światy są tuż obok siebie. To pomaga mi stąpać twardo po ziemi. Naprawdę sporo było tej dyni.

— PREMIER ARDERN przyszła na umówiony formalny wywiad ze mną w Waitangi w lutym pogrążona w rozmowie ze swoim sekretarzem prasowym. – Zastanawiamy się, czy będzie stosowne, jeśli po południu założę japonki – wyjaśniła mi. Ostatecznie stanęło na balerinach. Właśnie minęła druga po południu. Po ścianach w gabinecie pęzały poziome pasy światła, które przedostało się przez żaluzje. Fotografka „Guardiana” postanowiła wykorzystać tę grę światła i cieni, trochę jak z filmu *noir*. – Wypróbujmy może szczerzy wyraz twarzy zamiast uśmiechu – zaproponowała.

– Ciężko mi się nie uśmiechać – odpowiadała Ardern przez zaciśnięte zęby. – Inaczej wyglądam, jakbym była nadąsana. Mam beznadziejną strukturę kostną. Za każdym razem sprawiam wrażenie poirytowanej.

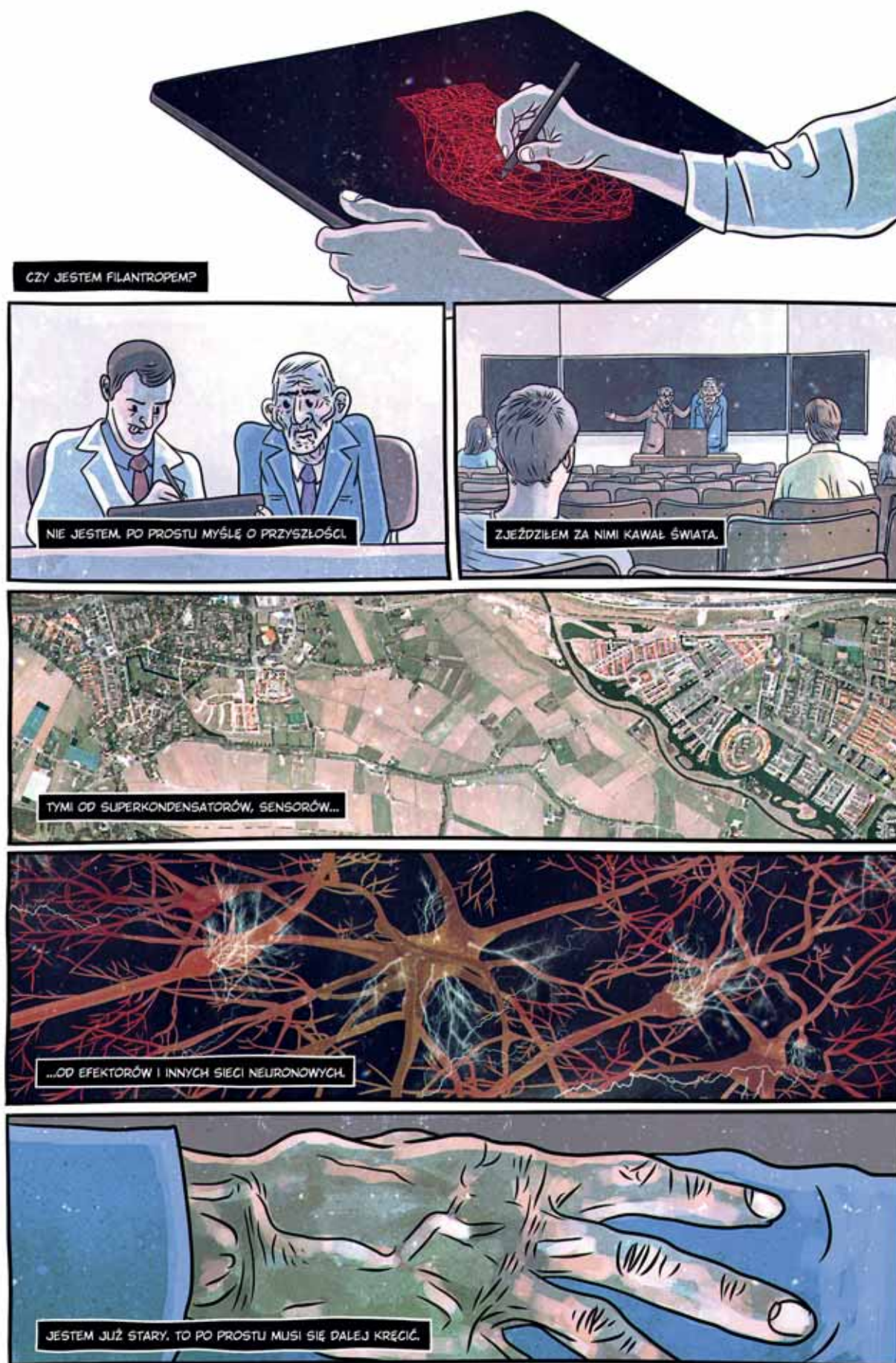
Pod koniec przemówienia w Waitangi zacytowała Michaela Savage’a, legendarnego przywódcę Partii Pracy, dzięki któremu w 1935 roku ugrupowanie pierwszy raz zdobyło władzę. – Nie twierdzimy, że jesteśmy doskonali, lecz z pewnością czynimy znaczące postępy. – Słowa te Ardern powtórzyła ostatnio w co najmniej trzech ważnych przemówieniach. Ma się wrażenie, że to

apel, by nieco ostudzić Jacindomanię i przyjąć bardziej pragmatyczny punkt widzenia.

– Jestem praktyczną idealistką – powiedziała mi. – Zawsze staram się, by było lepiej. Jednak dzięki pragmatyzmowi rozumiem, że niekiedy potrzeba dużo czasu. – Optymizm zazwyczaj bierze górę. – Alternatywa wygląda przecież tak, że oznajmimy ludziom, że – na przykład jeśli chodzi o ubóstwo dzieci – stawiamy sobie bardzo skromne cele. A wtedy społeczeństwo odpowie: „Gdzie wasza ambicja?”.

W Nowej Zelandii obowiązuje mieszana ordynacja wyborcza. Ludzie oddają dwa głosy: na okręgowego kandydata i na listę krajową, podobnie jak w Niemczech. Zyskanie bezwzględnej większości przez jedną partię jest prawie niemożliwe. Ardern musi więc negocjować z ugrupowaniem Najpierw Nowa Zelandia i z Zielonymi, by parlament przyjął jakiegokolwiek przepisy. Ale jak twierdzi, ten element pracy sprawia jej wiele przyjemności. – Nie irytuje mnie to ani nie frustruje. – Naprawdę? Trudno mi uwierzyć. – Jasne, czasami chciałoby się, żeby pewne sprawy poszły szybciej, ale zawsze zasiadam do stołu ze świadomością, że to absolutnie konieczne. Jestem w rządzie tylko dlatego, że dwie partie zdecydowały się z nami współpracować.

Podkreśliła zalety nowozelandzkiego systemu, kiedy spytałem ją o brexit. Sama wzmianka wywołuje grymas na twarzy Ardern. – Nie ma wielu podobnych wydarzeń w polityce międzynarodowej – powiedziała. Powstrzymała się jednak od udzielania jakiegokolwiek rad Theresie May, która dopiero co ledwo przetrwała głosowanie o wotum nieufności. – Powiem tyle: co prawda odziedziczyliśmy system westminsterski, ale na szczęście przeszliśmy do ordynacji mieszanej. – Dzięki temu sytuacje patowe jak w brytyjskiej Izbie Gmin są znacznie mniej prawdopodobne. – Konieczność dążenia do konsensusu jest wbudowana w nasz system i pewnie dużo bardziej, niż się nam wydaje, wpływa na sposób, w jaki ze sobą pracuje-



Szeptana historia Polski

tekst KACPER POBŁOCKI

HISTORIE POLSKI są dwie – oficjalna i ludowa. Aby zrozumieć tę drugą, należy wyćwiczyć słuch. Bo o rewolucji mówi się szeptem.

Hej, kochanie! – słyszę zza pleców, gdy pochylony nad skrzynką wybieram pomidory. Tłumek zgromadzony przy straganie wybucha śmiechem. Odwracam się i widzę, jak przez środek tego minizamieszkania pewnym, napoleońskim krokiem sunie dziesięcioletni chłopczyk. Pozdrowienie rzucił mimochodem – dosłownie – i kroczy dalej. Sprzedawczyni, do której zawołanie było skierowane, też się śmieje. – Uważaj, bo tam stoi mąż! – rzuca babcia chłopca. Mąż faktycznie stoi – niewzruszony, tylko milcząco się uśmiecha. Cała sytuacja trwa kilka sekund. Dzięki nonszalanckiemu gestowi dziesięciolatka łączy się na chwilę we wspólnym śmiechu.

Śmiejemy się, bo zdarzyło się coś niecodziennego. Rzucając filuterne „hej, kochanie” do czterdziestoletniej kobiety, chłopiec wszedł w podwójnie nieswoją rolę. W rolę dojrzałego mężczyzny, który może zalecać się do kobiety, a także w rolę dorosłej kobiety, która sprzedając swój towar, zwraca się do klientów per „kochanie”. Rozumiemy doskonale konwencję, łącznie z chłopcem, który w inteligentny sposób zagrał na podwójnym znaczeniu tego słowa.

Zwykle używane jest ono w sytuacjach prywatnych, między prawdziwymi kochankami. Wypowiedziane w sferze publicznej stanowi oręż ludowej familiarności, sposób na wciągnięcie ludzi w orbitę swojego ciepłego, serdecznego świata.

Znajdujemy się na małym targowisku na warszawskiej Pradze, przy ulicy Namysłowskiej. Nie jest to znana na całą Polskę Hala Mirowska, ale lokalny bazarek, na który – oprócz profesjonalnych sprzedawców – przychodzą też pohandlować mieszkańcy. Handlują, bo każdy grosz się przyda (Praga-Północ to najbiedniejsza dzielnica Warszawy; średnia długość życia mężczyzn wynosi tam siedemdziesiąt jeden lat, tyle co w Bangladeszu; mężczyźni w Wilanowie, najzamożniejszej dzielnicy, żyją średnio osiemdziesiąt dwa lata, dłużej niż Szwajcarzy czy Japończycy). Ale handlują też dla frajdy. Wyłożone na kocyku starocie są przede wszystkim wymówką, aby wyjść z domu. W mieście, w którym niemal wszędzie – jak mawiał Andrzej Lepper – jest „Wersal”, bazar na Namysłowskiej to jedna z nielicznych przestrzeni, w której klasa ludowa może czuć się jak u siebie.

Istnieje nieskończenie wiele form zwracania się do innych w przestrzeni publicznej: „kochanie”, „koleżanko”, „proszę księdza”, „proszę pani”. W apteczkę mówimy do „pana magistrza”, a do nauczycielki w liceum „pani profesor”. Zwrot, którym władza za czasów PRL-u przywoływała ludzi do porządku, brzmiał: „Obywatelu!”. Gdy chcemy kogoś znieważyć, mówimy: „ty chuju”. Ewentualnie: „spieprzaj, dziadu” (te słowa też padły na warszawskiej Pradze-Północ, na rogu ulic Inżynierskiej i Stalowej).

Mamy taki wachlarz możliwości, gdyż żyjemy w społeczeństwie zurbanizowanym. Gdy przekraczamy próg mieszkania, wchodzimy w przestrzeń publiczną, w której możemy wcielić się w dowolną rolę. W społeczeństwach agrarnych role były rozdane: twój ubiór, język czy postawa momentalnie zdradzały, do której klasy